

Robert Stępiecki

Manfred Kridl — wileński Michałowicz

Złodziak profesor polonistyki

P. Manfred Kridl, prof. Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, śmiały „odkrywcą” nowej metody badania literackiego, t. zw. „analizy estetycznej”, wystąpił na łamach „Wiadomości Literackich” z namiętną obroną żydostwa i równocześnie napastliwą krytyką polskiego nacjonalizmu. W całym artykule wylazły na fartuszkę i kielni, do uciśnionego „Starszego brata” Izraela i wielkich demokracji Zachodu.

Z arcynajwym arsenałem argumentów, kompromitujących zresztą człowieka nauki — nie warto polemizować. Wypadałoby jedynie przeanalizować samą podszewkę artykułu w „Wiadomościach”, jego istotną genzę.

KRIDLOWA „STAJNIA”

Znający atmosferę wileńskiej polonistyki niczego innego od wystąpienia Kridla nie mógł się spodziewać. Autor podręczników szkolnych znany jest na gruncie wileńskim ze swoich sympatii „demokratycznych” i masońskich. Cała t. zw. „stajnia” Kridlowa, to znaczy najulubieńszy jego wychowankowie — to albo zdeklarowani marksiści, niejednokrotnie oskarżani o komunizm, np. Żurumska, Putrament, albo grupa liberałów, zaciętych wrogów polskiego nacjonalizmu z szefem w spódnicy i agentem sui generis, Marią Rzeuską na czele.

Rzecz charakterystyczna, że na wykłady i seminaria, prowadzone przez Kridla przychodził niemal wyłącznie marksista i żydzi. Obję ktywnie stwierdzić wypada, że żydzi na polonistykę wileńską cieszą się troskliwą opieką Kridla, to też liczba ich rośnie z roku na rok i polonistyka jest obecnie oazą żydowską na uniwersytecie wileńskim!

POLONISTYCZNY CHEDER

Wobec tego, że wykłady w gmachu uniwersyteckim były przerywane niejednokrotnie, ponieważ młodzież (w tej liczbie studenci z innych wydziałów) żądała wydzielenia ghetta dla żydów, przemysłny profesor przeniósł wykłady do zacisznego seminarium, gdzie wstęp mają jedynie członkowie, w której części żydzi. Sielanka ta trwa już drugi rok. Przed każdym wykładem panuje tu rewach, jak w najrasowszym chederze.

REYMONT I ŻEROMSKI ŚMIESZAŁO

P. Kridl, stwarzając nową metodę analizy literackiej, polegającą na mechanicznej „obróbie” wewnętrznej konstrukcji dzieła, celowo przez kilka lat zaszczytnie w umysłach studiujących młodzieży niewiarę w wielkość dorobku polskiej kultury. Zdaniem prof. Kridla nie ma w całej literaturze polskiej nic, coby można

było uznać za dzieło godne Europy.

„Przed romantyzmem głucho jest w polskiej literaturze, romantyzm zaś w całości jest niepoważny i partykularny ze swoim narodowym posłannictwem i ideologią, pozytywnym szczególnie z Asnykiem i Konopnicką godny pogardy, późniejsi pisarze Reymont i Żeromski, śmieszają swoją nerwową, nierozsądną postawą! Przecież Reymont bez sensu wymachuje rękami, gdzie tu umiar i chłód...?”

MICKIEWICZ MAJACZY

Oto w najkrótszym skrócie „tenor” kilkuletnich wykładów profesora literatury polskiej, który nie potrafił wybrać z całej literatury polskiej „śdźbła wielkości” poza nielicznymi lirykami Słowackiego i Norwida. W świetle tego wszystkiego trudno się dziwić postawie Kridla zaznaczonej w żydowskim piśmie literackim. Oburzać może jedynie perfidia.

Kridl bowiem za motto do swego artykułu, użył właśnie znanego cytatu Mickiewicza z okresu wzmoczonego mistycyzmu, a jedno cześnie mówił o całej twórczości mistycznej Mickiewicza, jako o niepożytecznym, bezsensownym majaceniu. Jakże więc jest to na prawdę? Czy można, panie profesorze, za podstawę swych „rozumowań” brać cytaty z „bezsensownego majaczenia”?

„KULTURA” P. KRIDL

Kridl lubi szermować pojęciem: „kulturalizm europejski”. A tymczasem sam w odsądzaniu polskiego nacjonalizmu od czci i wiary, grzeszy brakiem elementarnych zasad kultury.

Najobiektywniej patrząc na działalność prof. Kridla, musimy stwierdzić, że jest ona wybitnie szkodliwa dla interesów narodu

polskiego, zwłaszcza wskutek tego, że p. profesor rozwija ją na terenie właśnie Wilna. Dziś, kiedy rosnący ruch narodowy rozszerza swój zasięg, kiedy wszyscy już rozumieją konieczność ekspansji polskiej kultury na kresach, jako conditio sine qua non naszego istnienia — rola prof. Kridla na Uniwersytecie wileńskim nabiera znaczenia groźnego symbolu. Tym więcej, że w okresie braci Jędrzejewiczów Uniwersytet Stefana Batorego został pozabawiony swoich najlepszych profesorów, zdecydowanych bojowników kultury polskiej. Obecnie większość profesorska, to t. zw. demokraci i filosemici, lub zaleknieni ludzie bez twarzy, czyli „państwownicy”.

Wileńszczyzna graniczy o miedzę z czerwonym barbarzyństwem, a tymczasem „estetyczny” profesor z całą premedytacją szerzy swoją perfidną robotę.

Nowa placówka polskości w Niemczech

Drugie polskie gimnazjum otwarte w Kwidzynie

W stolicy ziemi Malborskiej w Kwidzynie otwarte piękne gimnazjum, pierwsze bowiem otwarte



Bursa przy gimnazjum Kwidzyńskim dla polskich dzieci przybyłych tu dla nauki ojczystego języka.

nazwem dla polskich dzieci. Jest ono zaledwie drugim polskim gimnazjum w Niemczech, przed pięć laty t. j. w 1932 r. w Bytomiu.

Listy z tamtego świata na falach oceanów

W tych dniach do brzegów Ameryki przyniosły fale oceanu butelkę, w której znajdowała się kartka treści następującej:

„S/S Everet. Jest to nasz ostatni list. Drodzy przyjaciele, kiedy przeczytacie ten list nas już nie będzie na świecie. Żegnajcie na wieki!”

Statek Everet zatonął w czasie burzy w 1923 roku. Butelka pływająca po falach oceanu przez 14-cie lat.

W Ameryce istnieje specjalne biuro dla rejestracji odnalezionych w morzu butelek z listami.

Swego rodzaju rekord uzyskała butelka zarejestrowana pod nr. 296. Butelka ta została wyrzucona na brzeg przez fale, dopiero po upływie 30-tu lat i przeplęnię z górą 10.000 mil.

Niezawście da się odróżnić list podrobiony od prawdziwego. Na przykład w 1896 r. na brzegach Anglii znaleziono butelkę rzucaną do wody przypuszczalnie ze statku „Brunswick” z lakonicznej treści kartką:

„Tonie!”
Dokument ten jednak, jak okazało się, był podrobiony.
(b. g.).

miarowym cykaniem zegara i niezmordowanym ćwierkaniem świerszcza, co na jesieni jeszcze przywędrował tu na zimowisko i ani sposób było wypędzić go ze szparki za piecem.

Za to na dworze srożyła się wichura, wyła w kominie, trzęsła starym, pobitym gontem dachem małego domku. Cisła w okna grudkami lepkiego, wilgotnego śniegu, szalała wśród gęstwin leśnej, łamiąc z trzaskiem gałęzie i całe krzewy.

— Co za czas! Co za czas! — szeptała Gołąbkowa przechylając się nieco, aby przez otwarte drzwi zajrzeć do drugiej izby, która służyła za sypialnię, a od biedy i za kancelarię gajówki. Stały tam dwa usłane wysoko łóżka — Gołąbkowej i Anki, a pod oknem stół z książką. Gołąbkowa przyjmowała w tej izbie gospodarzy, kiedy zgłaszali się za zakup suszu z lasu. Anka zaś zapisywała w księdze sprzedane ilości i wydawała kwity.

Podrywała ją, aby wyjrzeć przez tamto okno, wstała więc, ale z trudnością i ciężkim stękanieniem, bo trapiła ją reumatyzm. Toż miało się już na piętnasty rok od śmierci męża, po którym dzięki dobroci księżny, a ku niemałemu podziwowi służby dworskiej i wszystkich włóścian okolicznych, objęła samodzielnie urząd gajowej w Teresinku. Długie te lata upływały jej na doglądaniu zwierzyny, na tropieniu kłusowników i złodziei leśnych, na czujnych obchodach nocnych. Pracowała nie gorzej od męża. Wiedziała o tym. Mówiono przecież w okolicy, że w Teresinku baba pilnuje lasu lepiej, niż gdzie indziej chłop i że dlatego do Teresinka nie kwapią się złodzieje.

Ojej, te lata! Dały się jej we znaki. Stęknęła jeszcze raz łokciem, opierając się o ramę okna. Nie zobaczyła nic, oprócz śnieżnej zamięci, usłyszała za to skrzypnięcie drzwi w sionce i odgłos ten podzielał na nią jak prąd elektryczny. Od razu zapomniała o reumatyzmie i o brzemieniu ciężkich lat, bo w

Paryska krzywda

Na marginesie działu polskiego

Wystawy Paryskiej

Podpisując się bez zastrzeżeń pod wszystkimi krytykami, jakie na temat strony organizacyjnej działu polskiego Międzynarodowej Wystawy w Paryżu były zrobione, chciałbym zwrócić uwagę, że takie generalne potępienie działalności organizatorów tej imprezy uderza w duży stopniu i w artystów.

Bo nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Komisariat Polski na Wystawie Paryskiej popełnił wiele błędów natury organizacyjnej i taktycznej, że nie potrafił postarać się o to, aby Polska była należycie reprezentowana pod względem handlu i przemysłu.

Nie ulega również wątpliwości, że to samo zagadnienie na poprzedniej światowej wystawie w Paryżu było znacznie lepiej przez nas rozwiązane. Ale nie można pominąć tego faktu, że poza całą stroną organizacyjną, kryje się zdezorientowany artysta, któremu powierzono wykonanie takich lub innych fragmentów i który w żadnym wypadku nie może być odpowiedzialny za całość.

Bez względu na to, czy te fragmenty wypadły dobrze, czy źle, trzeba o nich wspomnieć, aby oddać sprawiedliwość tym, którzy od szeregu lat kształtują nasze poczucie estetyki. Bo na Wystawę Paryską wybrano artystów, którzy na naszym terenie są uważani za najlepszych malarzy, rzeźbiarzy, dekoratorów i architektów.

Nie można bowiem patrząc na Wystawę Paryską zauważyć tylko Jędrzejewicza, a pominąć tych wszystkich naprawdę wartościowych ludzi, których Jędrzejewicz złą organizacją działu polskiego skrzywdził.

Przy omawianiu strony artystycznej trzeba zwrócić uwagę na naprawdę duże trudności terenowe, jakie mieli do pokonania architekci, planujący całość pawilonu polskiego.

Wszystkim, zwiędającym Wystawę rzuca się w oczy, że pawilon jest właściwie prawie dokładnie zakryty, poza olbrzymimi drzewami. Tego nie można było uniknąć, bo z jednej strony komisariat działu polskiego otrzymał zezwolenie na wycinanie tych drzew, ale z drugiej cena takiego wyciętego drzewa sięgała kilkudziesięciu tysięcy franków. I dlatego odsłonięcie całego pawilonu, przy zbyt skromnym budżecie, jaki był na dział polski preliminowany, okazało się zupełnie niemożliwe.

Całość rozwiązania ogrodowego przypadła w udziale p. Halinie Szolcównie, która poza zakomponowaniem krajobrazu dla całego pawilonu dała małe fragmenty ogródków przy wszystkich pokazanych wnętrzach.

Trzeba przyznać, że Szolcówna wywiązała się ze swego zadania bardzo dobrze. Specjalnie miło wygląda basen przy rotundzie, w którym celowo i bardzo dekoracyjnie umieszczono rośliny wodne.

Nawiasem mówiąc basen, w który wtapiają się ściany rotundy, jest chronicznie zanieczyszczony, a francuska publiczność ku dużemu zdziwieniu przybyszów z Polski nie zachowuje się wybitnie kulturalnie.

Ocenę strony artystycznej poszczególnych działów podam w następnym felietonie.

Jerzy Stokowski

Zbaczniactwa...

Wawrzyniaki

Rok rocznie na początku listopada mamy zabawę z naszą pocztową Akademią Literatury Polskiej.

Rok rocznie bowiem ogłasza się listy odznaczonych „Wawrzynem literackim”.

Zabawa dzieli się zawsze na dwa akty.

Najpierw komunikaty o układaniu list. Ludzie chodzą błądzi i drżący, a nuż ich umieszcza.

Potem zjawia się lista. Wiele czyta i oddycha z ulgą. „Ano chwala Bogu, jakoś nie zamieszcili”.

Są jednak nieszczęśliwcy, którzy znajdują swoje nazwisko na fatalnej liście „Wawrzyniaków”.

Taki jest godny pożałowania. Znajomi udają, że nie poznają go, tylko za plecami szepeją ze zdumieniem.

„Patrz ten lksiński, zdawało się, że porządną człowieka, a tymczasem bobka dostał. Ano cicha woda brzegi rwie”.

Biedak gryzie się, martwi. Analizuje całe swoje życie, wreszcie przypomina sobie, że kiedyś w czwartę, czy piątę klasie przepisał wypracowanie od kolegi. „Ano pewnie,

za to przepisywanie teraz tak mię pokarał los” — myśli sobie, gdyż cała jego twórczość wolna jest od tłumaczeń i wspomnień rozkosznych opowiadań i bajeczek niani.

Inny usiłuje się bronić.

Ogłasza listy w prasie, tłumaczy się, że pewno jakieś nieporozumienie, że nigdy nie nie zrynął, ani też Berezę nie bronił.

Niewiele to jednak pomaga. Ludzie słuchają, kiwają głowami, ale każdy w duchu mówi „Gadaj sobie. Bez kozery takby ci wawrzynu nie dali”.

Wcale się nie zdziwię, jeśli kiedy przeczytałam w prasie taką nolałkę w rubryce „Samobójstwa”.

„Dziś w nocy wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie znany literat X. Y. Denat w liście do policji wyjaśnił, że odbiera sobie życie, nie mogąc przeżyć tragedii, która go spotkała. Jak wiadomo X. Y. został umieszczony na ostatniej liście odznaczonych „Wawrzynem” P. A. L-u.

Tak, tak ciężki jest żywot wawrzyniaków.

B. REZA

JERZY MARIUSZ TAYLOR

CZCICIELE WOTANA

POWIEŚĆ

ROZDZIAŁ I

„ŚLADY NA ŚNIEGU”

Tani zegar ścienny o blaszanej tarczy, z której czas i rda starły doszczętnie wszystkie cyfry, wybił ochrypłym głosem godzinę siódmą i Gołąbkowa poruszyła się niespokojnie na swym przysuniętym do kuchni stołku.

— Już przeszło godzinę jej nie ma — mruknęła sama do siebie, ocierając wierzchem dłoni pot z czoła, bo w kuchni było gorąco. — Co ona może robić tam tak długo?

Ogarnęły ją nagle wyrzuty sumienia, że pozwoliła siostrzenicy wyjść do lasu. Ba! Żeby tylko pozwoliła. Anka wcale nie miała ochoty wychodzić, a ona wypchnęła ją wprost na dwór w tę śnieżycę w obawie, że księżniczka może przyjść do głowy fantazja nazajutrz skoro świt przejechać się konno po parku i że ją, jako gajową, a więc odpowiedzialną za nadzór nad zwierzyną, spotka nagana, bo sarnie paśniki były przecież puste. Dlatego nastawała, aby dziewczyna poszła je napełnić. Pozostawiła się nawet, że Anka nie dość sprawnie napychała worek seradellą i żółędziami.

Ogień buzał wesoło w kuchennym piecu ze starożytnym okapem. Poprzez szczeliny między fajerkami wymykały się na pograżoną w mroku izbę świetlane smugi, pełzając po ścianach i suficie. Niewielka kuchenka ustronnej gajówki była przytulna, pełna ciepła i ciszy, przerywanej jedynie

sionce rozległo się znajome objanie o próg zaśniewzonego obuwia.

— Anka wróciła!

Sterane nogi w mgnieniu oka odzyskały dawną sprężystość i Gołąbkowa pomknęła żwawo do kuchni. Odryglowała sprawnie drzwi zamknięte na grubą, żelazną zasuwę i cofnęła się trochę, bo w samą twarz buchnął jej wilgotny zamróz.

— No, chwala Bogu, że jesteś nareszcie — zagderała wesoło. — Chodźże, chodź! Dam ci zaraz gorącej kawy.

Pomimo tej zachęty dziewczyna nie kwapiła się z wejściem, i nie znosząc sprzeciwu, arbitralną kobietę ogarnął gniew, w którym rozplynął się bez śladu chwiłowy sentyment. Ruchem szorstkim, niemal brutalnym, pochwyciła Ankę za rękę i wciągnęła do kuchni, zatraskując za nią drzwi.

— Co za niezguła z ciebie — burknęła ostro. — Ciepło z izby ucieka, a ona stoi i czeka nie wiedzieć na co. No, zdejm-że kożuch — komenderowała. — Kto cię będzie doglądał, jak się zaziębisz?

Anka stała nadal nieporuszona i to zastanowiło wreszcie rozniewianą, niecierpliwą kobietę. Spojrzała zezem na dziewczynę i nawet w tym półmroku spostrzegła, że twarz jej jest bardzo blada, a wargi drżą dziwnie.

— Co ci jest? — zagadnęła z niepokojem, dotykając jej ramienia.

I pod wpływem tego dotknięcia, nieco może szorstkiego, a jednak w swojej szorstkości pełnego ciepłej pieściotliwości, Anka odzyskała głos.

— Ciociu! — zaszlochała, rzucając się w objęcia starszej kobiety — tam leży zabity człowiek.

— Zabity człowiek? O, Jezul! Co ty mówisz, dziewczyno? Gdzie?

(D. c. n.).